

MOJE DZICZE TRIPLETY

Mimo, że polowałem już prawie trzydzieści lat i na koncie miałem ponad 300 dzików, w tym kilkanaście ponad stukilowych, o tripletach czytałem tylko w opowiadaniach i książkach myśliwskich. Owszem zdarzały się dublety, dwukrotnie nawet jedną kulą, ale triplet występował wyłącznie w sferze marzeń łowieckich. W końcu jednak zaczęło się.

26 grudnia 2001 roku okres świąteczny postanowiłem zakończyć w łowisku, w szczególności aby zbić nadwyżkę poświątecznych kalorii i jak to mówią przewietrzyć się. Pełnia księżycy, niewielkie zachmurzenie, kilka stopni mrozu i las pokryty warstwą śniegu dawały nadzieję na udane polowanie. Zima trwała już od kilku tygodni i dziki intensywnie buchtowały dębiny w poszukiwaniu żołądki.

W naszym łowisku koło Miłosławia jest kilka ostępów z przewagą dorodnych dębów, gdzie nocą koncentrowały się dzicze watachy. Wpisując się do książki pobytu w łowisku miałem do wyboru w zasadzie wszystkie rewiry, bo większość myśliwych jeszcze świętowała. Tym razem zdecydowałem, że czarnuchów szukać będę w dębach koło wsi Szczodrzejewo.

O wyborze zadecydowały dwie przesłanki. Po pierwsze w tej części łowiska las przecina dość uczęszczana, a więc ujeżdżona droga, którą można przy mrozie i skrzypiącym śniegu ewentualnie podchodzić dziki i po drugie, że w dębach ustawiona jest niewielka drabinka, z której widoczny jest spory obszar dębiny. Ponieważ drabinka nie była wysoka można było ją wykorzystać tylko przy sprzyjającym wietrze.

Po przyjeździe na miejsce, a było to około 18⁰⁰, najpierw sprawdziłem wiatr. Z satysfakcją stwierdziłem, że jest dobrze i do podchodu i ewentualnie do zasiadki na drabinie. Powoli ruszyłem drogą lornetując dęby i zatrzymując się co kilkanaście kroków aby posłuchać lasu. Ściółka była wszędzie pobuchtowana co ewidentnie świadczyło, że dziki regularnie odwiedzają tą część lasu. Kilkaset metrów spaceru nie dało jednak ani wzrokowego ani słuchowego kontaktu ze zwierzyną. Stwierdziłem, że albo jednak zbyt głośno chodzę albo dziki przychodzą tu później i postanowiłem wrócić się i usiąść na drabinie. Wiedziałem, że nie wytrzymam przy tym mrozie dłużej jak dwie godziny, ale była to jednak szansa. Doszedłem najciszej jak mogłem do mojego stanowiska, zgarnąłem z ławeczki śnieg, co świadczyło że dawno nikt tu nie siedział

i cały zamieniłem się w słuch. Widoczność miałem doskonałą. Dookoła drabinki swobodnie mogłem strzelać do stu metrów. Zapaliłem papierosa.

- Jest dobrze – pomyślałem.

Słabiutki wiatr wiał w kierunku pola a więc, w tę stronę z której dziki na pewno nie przyjdą.

Już po kilkunastu minutach nie miałem czasu na nudzenie się. Gdzieś z głębi lasu szły dziki. Słyszałem już je dobrze, ale jeszcze nie mogłem ich dostrzec.

Odruchowo przetałem szkła lunety i lornetki. Za moment na białym tle śniegu pojawiły się czarne sylwetki. Były jeszcze ponad sto metrów od mojej drabinki ale już próbowałem ustalić skład watachy. Było osiem sztuk, cztery większe przelatki i cztery warchlaki. Ponieważ dziki buchtując kierowały się w moją stronę a wiatr miałem dobry, ze strzałem nie spieszyłem się. Postanowiłem, że strzelać będę nie dalej jak na czterdzieści metrów i raczej dzika skrajnego aby ewentualnie lepiej ustalić miejsce strzału. Widok był wspaniały, ale w końcu nadszedł czas na strzał. Po ściągnięciu spustu już w lunecie widziałem jak warchlak został w ogniu. Po strzale pozostałe dziki odskoczyły na około siedemdziesiąt metrów i zatrzymały się. Zdażyłem w tym czasie przeładować sztucer i jak tylko złapałem w lunetę kolejną czarną sylwetkę strzeliłem. Staralem się tylko zapamiętać miejsce strzału. O dziwo po drugim strzale dziki zmieniły kierunek ucieczki i łukiem około stu metrów ode mnie mijały drabinę. Postanowiłem użyć starego fortelu i tak jak mogłem głośno i przeciągle gwizdnałem. Poskutkowało. Dziki zatrzymały się. Po szybkim strzale zniknęły mi za niewielkim wzniesieniem. Zapaliłem papierosa i popatrzyłem na zegarek. Była dopiero dwudziesta.

- Ale mam szczęście – pomyślałem.

- W łowisku jestem niespełna dwie godziny a strzelałem już do trzech dzików.

Jeden leżał to było pewne, ale co z pozostałymi to w tej chwili była jeszcze duża niewiadoma. Wiedziałem jednak, że po śniegu jestem w stanie wszystko dokładnie sprawdzić. Po zejściu z drabiny i dojściu do miejsca drugiego strzału bez trudu znalazłem leżącego dziczka. Też został

w ogniu, ale przewrócił się tak, że z drabiny nie mogłem go dostrzec, bo zasłaniał mi go gruby dąb. Teraz już spokojnie po wyraźnym świeżym tropie watachy doszedłem do miejsca trzeciego strzału. Na śniegu zauważyłem kropelki farby.

- Jest dobrze, tylko jak go trafiłem?

Po kilkudziesięciu metrach, z daleka zauważyłem na śniegu czarna plamę. Przez lornetkę upewniłem się, że to trzeci dzik. Przyjął kulę na lekko spóźnioną komorę i po około pięćdziesięciu metrach został.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że jest to pierwszy w mojej karierze łowieckiej triplet do dzików.

Dla pełnego obrazu podam, że dziki miały 23 kg, 25 kg i 47 kg.

16 listopada 2002 roku minął niespełna rok od mojego pierwszego tripleta, gdy św. Hubert podarował mi drugi taki sukces.

- Słuchaj, tuż za granicą naszego obwodu jest buraczysko, na które co noc chodzą watachy dzików na obcięte korzonki buraków, które pozostały na polu po kombajnie. Widziałem je już dwa razy w światłach samochodu jak wracałem do domu.

Z taką rewelacyjną wiadomością zadzwonił mój przyjaciel Heniu, sołtys Nowej Wsi Podgórnej leżącej na granicy naszego obwodu.

- One muszą iść od nas gdzieś z Zimnej Wody. Może jakoś je przechwycimy – relacjonował

podekscytowany.

Była pełnia, więc moja reakcja była z góry do przewidzenia.

- Jestem jutro po pracy – potwierdziłem swój przyjazd.

Heniu w dzień wpisał nas do książki pobytu w łowisku w rejon Nowej Wsi Podgórnej tak, że mogłem przyjechać wprost do niego.

- Najpierw wypijemy kawę, a potem pójdziemy szosą (granicą naszego obwodu) zobaczyć czy ich przypadkiem już tam nie ma – przywitał mnie.

- Jak ich jeszcze nie będzie, to ja zostanę na szosie, a ty pójdziesz na drabinkę przy kartoflisku, bo pole jest też pobuchtowane i pewnie tamtędy idą – kontynuował.

Przytaknąłem i zacząłem pić świeżo zaparzoną kawę.

Z domu wyszliśmy około dwudziestej. Idąc w stronę buraczyska cały czas Heniu tłumaczył mi co musimy zrobić, aby je dopaść zanim znajdą się na terenie sąsiadów.

Usprawiedliwiał nas także przed nami samymi, że mamy do tego prawo, bo to przecież „nasze dziki”.

Szliśmy powoli lornetując pola po obu stronach drogi. Buraczysko było za wzniesieniem szosy, do którego dopiero dochodziliśmy.

- Teraz ostrożnie, bo za wzniesieniem pole jest tuż, tuż – przypomniał cicho.

Gdy wyszliśmy już na górkę tak, że pole po burakach było widoczne doznaliśmy szoku. Przed nami na polu było czarno. Może pięćdziesiąt dzików buchtowało pole nie dalej niż sto metrów od nas.

Były warchlaki, przelatki i kilka nieco większych. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu dzików na jednym nie największym przecież polu. Lornetki nie mogłem oderwać od oczu.

- I co robimy? – usłyszałem za sobą.

Teraz trzeba było podjąć jakieś decyzje. Strzelać nie można bo dziki u sąsiadów, a jak spędzimy to nie wiadomo gdzie pójdą.

- Heniu, spróbujemy je spędzić i zajmiemy stanowiska tak jak zaplanowaliśmy. Jest jeszcze wcześniej i jak tu tak ciągną to za godzinę lub dwie powinny wracać. Może je przechwycimy – zaproponowałem.

- Dobra, tak robimy – zgodził się.

Zapaliłem papierosa i dość głośno rozmawiając szliśmy asfaltem w stronę żerującej watahy. Chyba z powodu przyzwyczajenia do ruchu dziki dość długo ignorowały naszą obecność i dopiero gdy byliśmy około czterdzieści metrów i głośno rozmawialiśmy ruszył pociąg czarnych sylwetek, przewalił się przez szosę i wrócił na nasz teren. Dziki zniknęły w pobliskim lesie.

W tej części nasz plan powiódł się. Teraz przystąpiliśmy do realizacji drugiego etapu.

- Siedzimy do północy, a jak nie przyjdą, to spróbujemy jutro od samego wieczora – zwróciłem się do Henia z propozycją.

- Dobrze. Czekam, aż do mnie wrócisz na szosę – zgodził się Heniu.

- Połamania – rzuciłem na odchodne.

Heniu został na szosie i usadowił się na krzeselku przy słupie telefonicznym, a ja poszedłem wprost przez pola na wolnostojącą drabinkę przy kartoflisku. Byliśmy od siebie około czterystu metrów. Siedziałem na drabinie i nudziłem się. Pola były puste. Obserwowałem przesuwane się po niebie niewielkie chmurki i przelatujące wysoko samoloty. Zauważyłem także dwa przesuwane się po nieboskłonie satelity. Z zadumy otrząsnęło mnie kwiknięcie dzika. Chwyciłem lornetkę i popatrzyłem na ścianę lasu. Na kartoflisko zaczęły wysypywać się dziki. Było ich co najmniej dwadzieścia. Księżyc dawał dużo światła, pole było czyste a więc warunki do oddania strzału dobre. Patrząc przez lunetę wydawało mi się jednak, że te dziki albo są jeszcze daleko albo są bardzo małe. Postanowiłem ze strzałem poczekać i zrobiłem dobrze. Dziki nie kierowały się w stronę buraczyska i stanowiska Henia, tylko polem w stronę drabinki na której siedziałem. Wszystkie były prawie równe i zdecydowałem, że będę strzelać do tego, który będzie najbliżej i najlepiej ustawiony.

Pierwszy strzał oddałem na około trzydzieści metrów. Gdy strzelany dzik odbiegł około czterdzieści metrów i przewrócił się – kilka najbliższych zatrzymało się. Tylko czekałem na taki moment i już przygotowany strzeliłem do drugiego dziczka, który został w ogniu.

Na polu zrobił się ogromny harmider, w końcu dziki wyrzędowały się i dość spokojnie zaczęły schodzić z pola w tym miejscu, z którego wyszły. Trwało to na tyle długo, że zdążyłem przeładować i strzelić do jednego z ostatnich znikających za pagórkiem. Było to już dobre pięćdziesiąt metrów.

Po tej kanonadzie musiałem trochę ochłonąć. Zapaliłem papierosa. Od strony, gdzie był Heniu mrugnęło dwa razy światełko latarki. Heniu szedł do mnie.

Zeszliśmy się na polu. Zdałem krótka relację i zaczęliśmy wspólne poszukiwania. Wszystkie dziczki leżały na polu i okazały się niezbyt wyrosnięte, bo w punkcie skupu miały 12 kg, 15 kg, i 17 kg.

Zawsze to jednak triplet.

30 grudnia 2004 roku w Leśnym Ośrodku Doświadczalnym Akademii Rolniczej w Poznaniu w Puszczy Zielonka miało miejsce polowanie zbiorowe, na którym strzeliłem trzeciego w życiu tripleta do dzików. Polowanie takie rokrocznie dla przyjaciół Katedry organizował ówczesny, dziś już nieżyjący, prof. Bogusław Fruziński – kierownik Katedry Gospodarki Łowieckiej Akademii Rolniczej w Poznaniu. Profesora, osobę o ogromnej wiedzy fachowej, doskonałego dydaktyka, pasjonata łowiectwa a przede wszystkim postać o wielkich walorach osobistych, poczuciu humoru a równocześnie niezwykle skromnego, miałem okazję poznać na początku lat dziewięćdziesiątych. Bardzo szybko zaprzyjaźniliśmy się i w efekcie wielokrotnie mieliśmy okazję wspólnie polować.

W Wigilię jak zawsze zadzwoniłem do Bogusia z życzeniami.

- A co robisz 30 grudnia? – zapytał

W Zielonce organizuję polowanie na 10 -12 strzelb. Jak możesz to zapraszam.

- Bardzo Ci dziękuję, że o mnie pamiętasz. Jak nie będę przeszkadzał to chętnie się zabiorę – odpowiedziałem nieukrywaną radością.

- To bądź o 7⁰⁰ koło śmietnika. Czekam – zakończył rozmowę.

Oczywiście przy śmietniku byłem punktualnie. Było jeszcze ciemno, ale wiedzieliśmy z prognozy pogody, że dzień będzie słoneczny i mroźny. Szkoda, że było bezśnieżnie.

Boguś usiadł koło mnie i ruszyliśmy.

- Pamiętaj, że musimy zatrzymać się przy sklepiku w Biedrusku. Wiesz, na Nowy Rok trzeba zostawić coś chłopakom ze Stacji Badawczej i naganiaczom – przypomniat.

W Biedrusku też wysiadłem i zaopatrzyłem się w suweniry, bo to przecież nigdy nie wiadomo jak to będzie.

- W zasadzie to już koniec sezonu i plany prawie wykonane ale coś tam w lesie jeszcze zostało –oświadczył asekuracyjnie.

- Będzie nas dziesięciu lub jedenastu. Chłopcy przygotowali dobre mioty to coś na pewno zobaczymy – zakończył.

W Stacji Badawczej w Zielonce byliśmy za kilkanaście minut. Jak zwykle, przy gorącej herbacie Profesor wszystkich serdecznie powitał, poinformował do czego możemy strzelać, przypomniat o zasadach bezpieczeństwa i poprosił aby oszczędzać lochy, choć jak się komuś zdarzy strzelić to głowy nie utnie.

Przekazał głos koledze Jackowi Skubisowi – wówczas asystentowi, a dziś już adiunktowi w Katedrze Łowiectwa AR w Poznaniu, który był kierownikiem polowania. Po rozlosowaniu kartek stanowiskowych ruszyliśmy do łowiska.

Dzień zgodnie z prognozą był mroźny i słoneczny. Zapowiadało się piękne polowanie.

Minęło kilka miotów, oddanych zostało kilkanaście strzałów mieliśmy na rozkładzie dwa dziczki, dwie łańki daniela i lisa i byliśmy już po śniadaniu. Zbliżał się przedostatni, pamiętny dla mnie miot.

Przy rozstawianiu Jacek doprowadził mnie do świeżego zrębu, na którym wskazał mi na środku kilka wbitych gałęzi świerkowych.

- Staniesz za nimi. Uważaj. Na ostatniej dewizówce przez ten zrąb poszła cała chmara danieli – powiedział na odchodne.

Doszedłem na wskazane miejsce.

Stałem za kilkoma wbitymi w ziemię świerkowymi gałązkami, które sięgały mi do piersi a dookoła był goły zrąb opadający przede mną i po mojej lewej ręce w dół a po prawej w górę do świerkowego starodrzewia.

Przede mną w dole rozciągało się kilka hektarów łożyny okolonej z trzech stron wysokim lasem i z jednej strony gołym zrębem, na którym stałem jak samotny biały żagiel.

Odniosłem wrażenie, że w tej niecce łożyny było kiedyś śródleśne jezioro, które zamarło i porosło krzewami, wikliną i łożą.

Pokazałem się sąsiadowi z lewej, który gestem reki potwierdził, że mnie widzi. Sąsiada z prawej nie widziałem, bo jego stanowisko było za górką, ale wiedziałem gdzie jest, bo dokładnie określił mi to miejsce Jacek.

W duchu oceniłem, że moje stanowisko jest co najwyżej mierne i będę tu robił raczej za stracha. Doceniłem jednak, także jego walory – nareszcie słońce ogrzewało mi twarz i było mi cieplej, a poza tym jakby przypadkowo wyszło coś na zrąb to strzał będzie łatwiejszy.

Za moment usłyszałem z naprzeciwka głosy nagonki. Zaczęło się pędzenie. Dosłownie po dwóch minutach w łożynie zaczął się przed moim stanowiskiem ogromny ruch połączony z charakterystycznymi pukaniem łopat o gałązki łoż. Czułem, że to chmara byków danieli, ale nie mogłem przez gęstwinę ich dostrzec. Przesuwały się w lewo na stanowisko mojego sąsiada. W końcu zauważyłem je. Jeden za drugim, łopatacz za łopataczem, siedemnaści sztuk. Widok wspaniały. Wyszły z łożyny i zatrzymały się na wysokim lesie. Sąsiad miał je na dwadzieścia kroków ale nie strzelał – ciągle były w miocie i nasłuchiwały głosów nagonki. Gdzieś na flance padł jeden a za moment drugi strzał. Daniele zawróciły do miotu. Cały czas słyszałem je po charakterystycznych stukaniach łopatami. Nagle moją uwagę przykuł jakiś ruch na krawędzi łożin przed moim stanowiskiem. Cała wataha dzików ciągnęła na prawo

w kierunku stanowiska mojego niewidocznego sąsiada. Widziałem jak wychodzą z gęstwiny i już na wysokim lesie ciągną pod górę. Miałem do nich około osiemdziesiąt metrów a na moim sztucerze zamocowany Red Point Doctor. Znalazłem lukę i postanowiłem, że jak któryś zatrzyma się w tej luce to będę strzelał. Działo się to oczywiście bardzo szybko.

I rzeczywiście udało mi się oddać strzał, po którym jeden z przelatków przewrócił się, zsunął z pięć metrów i zaczął pisać testament. Szybko przeładowałem, bo mój sąsiad z prawej też strzelał pewnie do tych uchodzących dzików. Kątem oka obserwowałem szamoczącego się jeszcze mojego przelatka, gdy nagle z łożin dokładnie na wprost mojego stanowiska wyskoczył kolejny przelatek i stanął jak wryty trzydzieści metrów przede mną. Już nic nie kombinowałem tylko, przymierzyłem pod gwizd na mostek i strzeliłem. Dzik zniknął mi za skłonem, ale byłem przekonany, że trafiłem go. W miocie nadal słyhać było pokrzykiwania naganiaczy: „dziki w lewo”, „dziki w prawo”, „dziki do tyłu”.

Co chwilę padały strzały. Ja jednak ciągle obserwowałem pierwszego strzelanego dziczka, bo on ciągle jeszcze usiłował się podnosić i stale zjeżdżał w dół wzniesienia. Przez to przepuściłem lisa. Gdy odwróciłem głowę mijał już moje stanowisko i nie bardzo mogłem strzelać, bo byłby to strzał w górę i w stronę stanowiska sąsiada. Powoli naganiacze zbliżyli się do końca miotu. Byłem już nieco rozluźniony i dlatego w ostatniej chwili zauważyłem jak kolejne trzy przelatki próbują opuścić łoży, tym razem z mojej lewej strony. Nie było blisko, około siedemdziesiąt metrów i dziki były w ruchu, ale jednak zdecydowałem się na strzał do ostatniego. Jaki był efekt nie widziałem, bo zniknęły mi za skłonem. Za chwilę naganiacze wyszli na zrąb. Koniec miotu.

Pierwszy strzelany przelatek już się nie ruszał, choć zjechał po skłonie z piętnaście metrów. Wyszedłem zza swoich świerkowych gałązek i poszedłem sprawdzić drugi strzał. Dosłownie po przejściu kilku metrów zauważyłem leżącego poniżej mojego stanowiska dzika. Dostał tak jak mierzyłem. Za chwilę ku mojej ogromnej radości i wielkiej wewnętrznej satysfakcji znalazłem trzeciego dzika, który przyjął kulę na nasadę karku.

